

POLESIA CZAR...

IZABELA ROCHNOWSKA

Piękna to ziemia, o rozległym krajobrazie, którego nie przestaniają góry. Tyle tu łąk, lasów, jezior. Nie pamiętam przedwojennego Polesia. Odwiedziłam tę krainę dopiero 30 lat po wojnie i zachwyciłam się nią. Jechałam autobusem z Brześcia do Pińska ładnymi szerokimi drogami, wiodącymi przez Kobryń, Antopol, Drohiczyn, Pińsk. Osuszono już słynne poleskie błota – co miało też złe strony, bo zubożała flora i fauna tej ziemi. Odfrunęło ptactwo zamieszkujące bagna, zniknęły oczerety, sitowie, tataraki, ale kraina dalej jest piękna.

Początek mojej poleskiej sagi jest taki. Moja mama ukończyła seminarium nauczycielskie w Mielcu w 1929 r. O pracę w centralnej Polsce było bardzo trudno, a musiała zarabiać na siebie, tym bardziej że miała bardzo chorego brata, którego leczenie kosztowało przed wojną majątek. Szczęśliwym trafem (?) otrzymała etat na Polesiu w wiejskiej szkółce. Miejscowość nazywała się Bereźno, ładnie położona nad rzeką Słuczą. Jechała tam z ciężkim sercem, oderwana od rodziny, młoda 19-letnia panienka. Opowiadała mi, że całą drogę płakała. Bała się głuszy poleskiej, obcych ludzi i nieznanego losu w zupełnie nowych warunkach. Kierownikiem szkoły w Bereźnie był Stefan Surko – młody wdowiec (mama zajęła posadę po jego zmarłej żonie). Był bardzo wymagający i zaraz po zaangażowaniu młodej nauczycielki oznajmił: „Lekcje mają się odbywać już wtedy gdy są 3 osoby: Bóg, nauczyciel i jedno dziecko”. Słowa te zabrzmiały dziwnie i mama zrozumiała je dopiero wtedy, kiedy nastąpiła pora kopania ziemniaków – uczniów w szkole prawie nie było. Pomagały rodzicom przy zbiorze kartofli.

W Bereźnie była też szkoła rolnicza, w której pracowały panie z wyższym wykształceniem ogrodniczym, rolniczym i innym odpowiednim do profilu szkoły. I tak mama miała dość liczne i sympatyczne towarzystwo na tym „wygnaniu”. Organizowane były konferencje nauczycielskie w okolicznych miejscowościach, na które jeździło się furmankami przez lasy, pola, mostki na rzekach. I tu muszę wspomnieć o niebezpieczeństwie jakie stanowiły wilki. Było ich bardzo dużo w tych stronach i każdy furman wybierając się w drogę zabierał snopy słomy, które w razie napaści tych zwierząt podpalał i rzucał w wilcze stado. Był to podobno skuteczny środek zaradczy, by je odstraszyć.

Na jednej z konferencji mama poznała mojego ojca – absolwenta seminarium nauczycielskiego w Słonimie. Pobrali się w 1938 r. ale ustabilizowanym życiem cieszyli się niedługo. Za rok wybuchła wojna, a ja – ich pierwsze dziecko – byłam w drodze. Mama wspominała czas ciąży, jako pasmo nieustannego lęku – co będzie dalej?. Horroru dopełnił bardzo ciężki poród, który odbywał się w makabrycznych warunkach. O obecności lekarza nawet marzyć nie mogła. Zebrały się wiejskie baby, akuszerki, szeptuchy, znachorki, ale wobec bardzo ciężkiego stanu

rodzącej były bezradne. Zrozpaczony ojciec szukał ratunku gdzie mógł. Pomogło przeznaczenie. Przez sąsiednią wieś przeprawiał się jakiś rosyjski pułk i tata wydedukował, że powinien tam być lekarz. Pojechał i wybłagał u dowódcy, by pozwolił lekarce przyjść do rodzącej żony. Pani doktor była tuż po studiach i jak potem powiedziała, był to jej pierwszy poród jaki samodzielnie odebrała (kleszczowy). Żeby jeszcze dopełnić historii tego faktu – moje przyjście na świat odbywało się na gospodarskim stole, na którym chłopci sprawiali świnię po zabiciu. Było to w Wielki Piątek 1940 roku. Bóg chciał byśmy obie z mamą przeżyły.

I tak wraz z wybuchem wojny zaczęła się gehenna mojej bliskiej i dalszej rodziny. Skupię się na rodzinie mojego ojca, która z dziada pradziada mieszkała na Polesiu. Była to szlachta (szlachectwo nadane przez królową Bonę). Ród Korzeniewiczów-Wysockich był herbu Kolumna. Szlachta (według opowieści mojej mamy) wstępowała w związki małżeńskie tylko w swoim stanie. Małżeństwa z chłopami były mezaliansem. Dziadkowie moi ze strony ojca mieli w chwili wybuchu wojny pięcioro dorosłych dzieci. Najstarsza siostra mego ojca – Teodora miała już 50 lat, następny był mój stryj Mikołaj mieszkający w swoim majątku z rodzicami, a moimi dziadkami. Potem były kolejne siostry: Maria, Zofia i najmłodszy z rodzeństwa mój ojciec – Terencjusz. Z pięciorga rodzeństwa jedynie dla mojego ojca los okazał się stosunkowo łaskawy. Pozostali – jego rodzice brat i siostry doświadczyli gehenny Syberii, tułaczki i strasznego życia po wojnie.

Dziadkowie Julianna i Teodor Korzeniewiczowie i ich syn Mikołaj do wojny dorobili się folwarku (tak to nazywali moi kresowi krewni) i wychowali pięcioro dzieci (szósta – córka Jadwiga zmarła w wieku 20 lat przy porodzie). Potomstwo było już usamodzielnione, każde posiadało swój majątek. Byli na tamte czasy ludźmi dość zamożnymi, co zawdzięczali swojej pracowitości. Najstarsza córka Teodora była właścicielką dobrze prosperującego majątku Józefiny, młodsza Maria gospodarzyła w posiadłości Aleksandrówka, najmłodsza Zofia mieszkała trochę dalej w Stolinie – też właścicielka dużego gospodarstwa. Starszy syn Mikołaj był leśniczym (na swoją zgubę) i zarządzał wraz z ojcem (moim dziadkiem) folwarkiem w Lubelpolu. Byłam w czasie wojny małym dzieckiem i dziadków swoich nie pamiętam. Los ich znam z opowieści moich rodziców, a także stryjecznego brata Teodora.

Według przekazu mojej mamy babcia Julianna była kobietą niezwyklej dobroci, pracowitości i oddania dla rodziny. Z ciężkiej pracy na starość chodziła pochylona do ziemi, nie mogąc już wyprostować swojego zmaltretowanego kręgosłupa. Urodziła 9-cioro dzieci – troje zmarło w wieku dziecięcym. Doczekała 16-tu wnuków, a właściwie 13-tu, bo troje urodziło się już po jej śmierci.

Bardzo kocham rodzinę ojca i trudno mi pisać o niej nie wycierając łez, które cisną mi się do oczu, kiedy myślę o tym co ci dobrzy ludzie wycierpieli. I za co?!

Dramat moich dziadków i zamieszkującego z nimi syna z rodziną zaczął się w styczniu 1941 roku, kiedy nocą zapukali do nich przedstawiciele NKWD i kazali w ciągu pół godziny spakować się i załadować na sanie. Zima była bardzo mroźna tamtego roku. Na podstawie ustawy Rady Komisarzy Ludowych ZSRR z grudnia 1939r., stryj Mikołaj Korzeniewicz podlegał zsyłce za to, że był leśniczym. Miał on żonę i czworo dzieci – najstarszy Teodor miał wtedy 15 lat. Powieziono ich pociągiem przez Wołogdę, w strasznych warunkach, tłoku, zimnie, głodzie i mój dziadek podróży tej nie przeżył. Zmarł gdzieś za Wołogdą nie wiadomo gdzie pochowany. Babcia i pozostali dojechali do Archangielska. Tu, czekając na załadunek w dalszą drogę umarła moja babcia. Stryj Mikołaj z dziećmi i żoną pojechali dalej na północ i tam umieszczono ich w powiecie pinieżskim województwa archangielskiego. Rozdzielono rodzinę. Ojca skierowano do wyrębu lasu, a matkę z dziećmi ulokowano 70 km dalej. Nie będę opisywała warunków w jakich mieszkali, głodu, pracy ponad siły, braku opieki medycznej. To wszystko jest znane i w każdym miejscu zsyłki wyglądało podobnie. Dramat toczył się dalej. Tragedia pociągała za sobą następną tragedię. Niestety nie było końca.

Zachorował na tyfus najstarszy syn (Teodor). Zrozpaczona matka wiedziała, że syn nie przeżyje, bo brak lekarstw, pożywienia, warunków ludzkich do życia dopełnią czary goryczy. Wybłagała u nadzorców, by pozwolili ojcu przyjść pożegnać się z dzieckiem. O dziwo pozwolili! Stryj szedł przez zaśnieżoną tajgę 70 km. Słabo odżywiony (w ogóle o czym tu mówić), źle ubrany (bo i w co) przeziębził się po drodze, dostał zapalenia płuc, ale wysiłkiem woli i z Bożą pomocą dotarł do lepianki, gdzie była jego rodzina. Spojrzał na umierające dziecko, runął na klepisko i skonał. Ale stał się cud..., bo tylko tak można tłumaczyć fakt, że konający syn przeżył kryzys choroby i wyzdrowiał. Od tej pory Teodor był chyba po szczególną opieką Boga, bo jego niezwykle bieg życia jest tego dowodem.

A oto kolejne jego losy

Teodor – syn Mikołaja. Mój stryjeczny brat. Odwiedziłam go w Anglii w Manchesterze w 1972 r. Nigdy wcześniej nie widzieliśmy się, bo tak potoczyły się losy dwóch braci – czyli jego ojca i mojego. Mój tata szczęśliwie uniknął Syberii i zaraz po wojnie przyjechaliśmy na Ziemię Odzyskaną. Mama całą rodzinę miała w Małopolsce, więc nawet słyszeć nie chciała o pozostaniu na Polesiu – po wojnie rosyjskim. Po przyjeździe do Polski zaczęli pracować w swoim zawodzie (nauczyciela) w Pławnej koło Lwówka Śląskiego. Kiedy odnalazł się mój brat stryjeczny (to on nas

odszukał) zaczęliśmy ze sobą korespondować. Wszystkiego jednak pisać nie mogliśmy. Wiadomo – takie były czasy. O wyjazd na zachód było trudno. Na początku lat 70-tych w kraju zrobiło się trochę mądrzej i mogłam już brata odwiedzić. Posłałam mu zdjęcie, napisałam jak będę ubrana i na lotnisku w Londynie łatwo mnie rozpoznał. Pierwsze jego słowa do mnie brzmiały: „Po 30 latach po raz pierwszy widzę kogoś z rodziny”. Byłam u niego 2 miesiące. Tyle miałam wolnego – wakacje (jestem nauczycielką). Spędzaliśmy długie godziny na rozmowach w czasie których dowiadywałam się o losach naszej rodziny (ja jestem z czworga najmłodszych wnuków naszej babci) i jego drodze z Syberii do Anglii. Była ona drogą przez mękę. 14 sierpnia 1941 roku zostało podpisane sowiecko-polskie porozumienie, na mocy którego zaczęło się tworzenie Polskiej Armii pod dowództwem generała Władysława Andersa na terytorium ZSRR. Mój brat miał już wtedy 16 lat. Postanowił skorzystać z szansy wydobywania się z Syberii. Wiem, że dotarł najpierw do Kujbyszewa, a potem do Uzbekistanu do miejscowości Kermine i tam został przydzielony do 6 Dywizji Pancernej. Z Uzbekistanu w związku z ewakuacją Polskiej Armii trafił do Iranu, potem Izraela i Egiptu. 15 grudnia 1943 roku zaczął się transport Polskiej Armii do Włoch i tam mój brat przeszedł cały bojowy szlak z Armią Andersa. W książce o Monte Cassino, która otrzymałam od niego jest krótkie wspomnienie o nim jako uczestnik walk pod Monte Cassino. Są to suche fakty. Cytuję: „Teodor Korzeniewicz urodzony 14 lutego 1925 roku w Lubelpolu pow. Pińsk 14 kwietnia 1942 roku był przyjęty do Armii Polskiej w ZSRR pod dowództwem generała Władysława Andersa. Wchodził w skład 23-go pułku 7 dywizji piechoty. 2 grudnia 1942 roku ukończył podoficerską szkołę. W 1943 roku przeniesiony do 1 kresowego Pułku Ułanów, gdzie przebywał do początku 1944 roku. Następnie wchodził w skład Dywizji Obsługi Czołgów i w składzie tego pododdziału brał udział w bitwie o Monte Cassino, za co był uhonorowany pamiątkowym Krzyżem Monte Cassino Nr 32 174. od październik 1944 roku był w składzie komendanta szwadronu 4-go pułku czołgów „Skorpiony” 2-ej Warszawskiej Dywizji Czołgów. Brał udział w wyzwoleniu Bolonii. Za udział w kampanii włoskiej posiada szereg odznaczeń”.

Tyle w książce. Ja wiem trochę więcej z opowieści brata. Na przykład, że w Iranie przeszedł wiele chorób zakaźnych z cholerą, dyzenterią i zapaleniem uszu włącznie. Bardzo wielu Polaków wycieńczonych Syberią tam zmarło. Żołnierzy szczepiono- od razu dostawali kilka szczepień przeciw różnym chorobom, które ich osłabione organizmy odchorowywały. W Iranie mego brata spotkała wielka radość. Trafił tam na swego kuzyna, który też z zesłania poszedł do Polskiej Armii. Nie czuł się już taki samotny. Odtąd razem przemierzali wojenne szlaki. Kuzyn Arkadiusz Korzeniewicz (nasi dziadkowie to rodzeni bracia) miał 21 lat. Razem z Teodorem zdobywali Monte Cassino. Przeżyli obaj, ale w bitwie o Bolonię Arkadiusz poległ.

Mój brat znowu był sam. Teodor wspominał z goryczą, że Polacy niekresowiaci lubili się wywyższać i tych z kresów przezywali „kacapami”. Było im z tego powodu bardzo przykro, przecież walczyli o tę samą Polskę.

Polacy mieli wielkie powiedzenie u Włoszek, a cała ludność Italii darzyła ich sympatią. Do naszych żołnierzy przychodziły kobiety i kupowały u nich papierosy, konserwy i inne rzeczy. Teodor zapamiętał 16-letnią ładną dziewczynę o imieniu Klara. Przybiegła do wojska ze swoją siostrą po papierosy dla ojca. O bitwie pod Monte Cassino mój brat opowiadał tak. „W kwietniu 1944r. w Głównym Sztabie zaproponowano Władysławowi Andersowi aby 2 korpus szturmował wzgórze Monte Cassino. Poprzednie próby zdobycia go nie dały rezultatu. Generał propozycję tę przyjął. Monte Cassino było bardzo istotnym strategicznym punktem, z którego Niemcy kontrolowali drogę do Rzymu (szosa nr 6). Atak zaczął się z 11 na 12 maja ostrzałem z 1000 armat. Główny ciężar wzięła na siebie piechota. 3-cia Karpacka Dywizja otrzymała zadanie zdobyć wzniesienie 593, a 5-ta Kresowa Dywizja Piechoty – wzniesienie 575. Śmiertelne zmagania trwały do 18 maja, kiedy to Niemcy skapitulowali i opuścili Monte Cassino. Brat wspominał, że Amerykanie sprytnie to wykorzystali i weszli do Rzymu jako pierwsi. W bitwie tej 2-gi Polski Korpus poniósł wielkie straty, szczególnie 16 i 17 batalion 5-tej Kresowej Dywizji. Po zdobyciu Monte Cassino 2-gi Korpus był przerzucony na wschodnie wybrzeże Włoch, gdzie brał udział w bojach, aż do walki o Bolonię i tam też zakończył swoje działania wojenne w sierpniu 1945r.!” Na cmentarzu w Bolonii pochowany jest nasz kuzyn Arkadiusz Korzeniewicz, który poległ w walce – ostatniej dla naszych żołnierzy i z tego powodu śmierć jego jest podwójnie tragiczna.

Po zakończeniu działań wojennych mój brat wybrał na miejsce emigracji Wielką Brytanię. Nic nie wiedział o losach swojej rodziny, którą zostawił na Syberii. Potem okazało się, że matka jego i rodzeństwo przeżyli zsyłkę i po jakimś czasie powrócili na Polesie. Brat zamieszkał w Anglii w Manchester, a wraz z nim wielu kolegów z Armii Andersa (także i sam generał – tyle, że w Londynie). Pewnego dnia wyszedł przed dom i ... na podwórku sąsiedniego budynku zobaczył Klarę - dziewczynę, którą zapamiętał z Włoch. Ona również go poznała. Co się okazało ? Jej siostra (obie były bardzo ładne – typowa włoska uroda) wyszła za mąż za Polaka poznanego we Włoszech i przyjechała z nim do Anglii, by osiąść tam na stałe, a Klara zjawiała się u nich z wizyta rodzinną. Jest to historia z happy endem, bo brat ożenił się z tą dziewczyną i przeżyli razem prawie 60 lat. Teodor zmarł w 2007 roku w Manchester. Czy był szczęśliwy na emigracji ? Trudno dać jednoznaczna odpowiedź. Właściwie życie miał udane. W małżeństwie się układało. Dorobił się pięknego domu, wychował troje własnych dzieci, przygarnął i wyprowadził na ludzi

czwarte. Wszystkie dzieci pokończyły studia. Im również powodzi się dobrze. Też mają swoje domy. Wnuki już studiują. Ale to jedna strona medalu. Druga zaś: niespełnione marzenia o kształceniu się. Brat był bardzo zdolnym, inteligentnym człowiekiem. Niestety, życie tak się potoczyło, że musiał ciężko pracować i na naukę nie miał czasu. Pracował jako kierowca. Był wielkim patriotą. Podczas mojej wizyty u niego często mówił: „Nie masz pojęcia jaki jestem samotny. Żona Włoszka- każde wakacje spędzamy u jej rodziny we Włoszech. Dzieci to już Anglicy. Dla nich Polska, Polesie to krainy z baśni. Wierz mi, że brak ojczyzny to największe sieroctwo”. Bardzo tęsknił za krewnymi, za matką, rodzeństwem i ukochanym Polesiem. Zaraz po wojnie otrzymywał listy z ZSRR, które brzmiały mniej więcej tak (czytałam je): „Wracaj do ojczyzny. Nie wierz kłamcom z zachodu, którzy rozpuszczają wrogie plotki o tym, że kiedy wrócisz to trafisz na Syberię albo do więzienia, osadzony jako zdrajca” itd. Teodor wiedział swoje. Krewni w zaszyfrowany sposób donosili mu w listach co spotkało tych, którzy wrócili. Brat długo nie przyjmował obywatelstwa brytyjskiego. Przyjął go dopiero wtedy, kiedy nie mógł już dłużej odkładać spotkania z sędziwą matką na Polesiu. Było to po 50-ciu latach jego pobytu na obczyźnie. Całe swoje „angielskie” życie pomagał rodzinie na Polesiu. Opłacał operacje ratujące zdrowie i życie, posyłał lekarstwa, załatwiał różne sprawy, zapraszał do siebie. Uważam, że przeżył swoje życie jako człowiek wspaniały. Sprawdził się i wykonał wszystkie swoje ziemskie zadania: wobec ojczyzny, krewnych i swojej najbliższej rodziny - żony, dzieci, wnuków, matki i rodzeństwa. Patriotyzm mego brata nie był pojedynczym przypadkiem wśród emigrantów w Anglii. Będąc w odwiedzinach u Teodora, bywałam wśród tamtejszej Polonii.

Wiele rzeczy mnie dziwiło. Na przykład: każdego roku organizowali „Bał Ułanów” - bo takie były przed wojną. W mowie zachowali sposób wystawiania się z lat 30-tych. Był w Manchesterze polski kościół, a ksiądz z ambony ogłaszał kto przyjechał do kogo, w odwiedzinach z Polski. Przed kościołem sprzedawano „nasze” pączki. Emigranci żyli wspomnieniami takiej Polski jaką zostawili w chwili wybuchu wojny. W Londynie wydawany był „Dziennik Polski”. Mam do tej pory 1 egzemplarz z dnia 1 września 1972 roku. Pierwsze jego strony epatowały bardzo dosadnymi tytułami artykułów np.: „Akademia UB w Polsce. Ubecy będą mieć tytuły magistrów, inżynierów, doktorów”. Dziennik podawał wiadomości z życia Polonii w rodzaju: „Ryszard G. z Leek ukończył studia na uniwersytecie w Aston w Birmingham i został inżynierem w dziale elektroniki. Pierwszą posadę dostał w Leicester”. Są też zawiadomienia o ślubach, bójkach, dobrze płatnych pracach, zgonach itd. Z okazji 1 września było też krótkie wspomnienie o tamtym 1 września 1939 r. Będąc w Anglii w 1972 roku interesowałam się losami osiadłych tam Polaków. Nie wszyscy odnaleźli się w nowym dla nich świecie. Wielu ludzi nie potrafiło się zaaklimatyzować

w nowych warunkach. Liczni mężczyźni nie założyli rodziny. Nie chcieli brać za żony cudzoziemek, a często żeniąc się z nimi, szybko rozwodzili. Twierdzili, że nie mogli znaleźć z nimi wspólnego języka – inna mentalność, zwyczaje, wartości, inne zapatrywania na wychowanie dzieci. Moja bratowa prowadziła w Manchester pub. Codziennie schodzili się do niego Polacy, Białorusini, Ukraińcy. Przesiadawali tam do zamknięcia lokalu pijąc jedno piwo po drugim. Pomagałam bratowej w tym pubie, będąc jednocześnie dużą sensacją dla gości, bo przyjechałam zza „żelaznej kurtyny”. Nie mogli uwierzyć, że mnie puszczono do Anglii. Strach przed komunizmem i Rosją był wśród emigrantów ogromny. Żał mi było tych ludzi, ale może to ja się myliłam oceniając ich jako ludzi nieszczęśliwych, bo wyobcowanych, nie będących u siebie w domu, pracujących nie dla swojego kraju ?Brat proponował mi, żebym została w Anglii. Chciał mnie tam wydać za męża, ale nie przeszło mi to nawet przez myśl. Nie uwiodły mnie piękne towary w sklepach, ładne domy niektórych emigrantów. Wróciłam szczęśliwa do mojej ubogiej ojczyzny, do swojego domu.

Losy sióstr mego ojca.

Teodora Szołomicka była najstarszą z rodzeństwa. Rok urodzenia 1892. W czasie wojny, po spaleniu naszego domu przygarnęła moich rodziców i mnie do swojej posiadłości. W chwili wybuchu wojny ciocia Teodora miała już czworo dorosłych dzieci. Po wkroczeniu Rosjan został zabity jej najmłodszy syn Piotr (za sprawą NKWD). Ciocia do końca swego tragicznego życia nie mogła się pogodzić z jego śmiercią. Następny dramat biednej kobiety rozegrał się już po wojnie, bo przywiązana do swojej ziemi i dorobku życia nie opuściła Polesia i nie wyjechała z nami do Polski. Otóż na (rosyjskim już) Polesiu rozpoczęto „rozkułaczanie bogaczy”. Ciocię, jej męża i córkę uznano za krwiopijców, którzy wyzyskując biednych ludzi, „dorobili się na ich krzywdzie majątku”. Wyrok - konfiskata mienia i Syberia. W koszmarnych warunkach, bydlęcych wagonach jechali ponad 3 miesiące do Kazachstanu. Tam – ciężko pracowali, jedli to, czym karmiono bydło - wielu ludzi przez to umarło. Nie przyzwyczajeni do 40 stopniowych mrozów, a opału nikt im nie dawał, potracili zdrowie. Po śmierci Stalina objęła ich amnestia i wrócili na Polesie. Jednego z synów cioci Teodory zesłano do Workuty. Harował w kopalni węgla. Z braku witamin dostał szkorbutu (cynga po rosyjsku) i stracił wszystkie zęby. Ciocia wróciła z zesłania niezdolna już do samodzielnej egzystencji. Zreumatyzowana z powykęcanyimi nogami i rękami przeleżała na łożu boleści ponad 20 lat. Kiedy odwiedziłam ją w 1978 roku usiadła na chwile - bo gości na leżącym się nie przyjmuje - i powiedziała: „co za szczęście, że ciebie Izulko jeszcze zobaczyłam przed śmiercią”, a potem dodała: „a mego Piotrusia bandyci zabili”. Ciocia żyła jeszcze parę

lat. Okropnie cierpiała, dostawała 17 rubli na miesiąc, gdyby nie dzieci umarłaby z głodu.

Maria Szołomicka

Ciocia Marysia była rodzinnym słońcem. Pełna empatii, złote serce, życzliwa, hojna, bardzo inteligentna i wrażliwa. Z mego wczesnego wojennego dzieciństwa ją jedną pamiętam wyraźnie. Być może dlatego, że ciągle coś od niej dostawałam - a to czapeczkę z angory, a to jakiś przysmak, jakąś zabawkę. Ciocia wraz z mężem była współwłaścicielką majątku Aleksandrówka. Drugim współwłaścicielem był brat jej męża, żonaty z Barbarą i mającym tak jak Maria trójkę dzieci - samych synów. Kiedy odwiedzałam ciocię Marię w połowie lat 70-tych, miała już 75 lat, od bardzo dawna już nie chodziła i w ogóle była bardzo schorowana. Umysł jednak miała jasny i prowadziła bardzo ciekawe rozmowy. Nie wywieziono jej na Syberię, ale życie jej było golgotą. Kiedy jej męża i szwagra zabrali na front, ciocia miała – jak się potem okazało- proroczy sen. Otóż śniła jej się, że poszła z kobietami żąć olbrzymi łan pszenicy. W rękę trzymała sierp (na Polesiu symbolizował męża). Kobiety ustawiły się w szeregu, a ona jako pierwsza zaczęła ścinać zboże. Zrobiła to kilka razy i sierp pękł. Ciocia zeszła z pola, a na jej miejsce stanęła żona jej szwagra. Ta też zrobiła kilka cięć i z sierpem stało się to samo. Ciocia wyjaśniła mi, że to był zły sen, który niestety do roku się spełnił. Jedna po drugiej zostały wdowami z trójką dzieci każda. Maria bardzo rozpacziała. Nie chciała wierzyć, kiedy dostała zawiadomienie: „poległ na polu chwały” (pod Bydgoszczą).

Byli bardzo udanym małżeństwem. Jeszcze po wojnie czekała na męża - dopiero frontowy przyjaciel jej małżonka odwiedził ją i powiedział: „nie czekaj bo na moich oczach rozerwała go mina”. I tak było. Miała trójkę dzieci, musiała wsiąść się w garść. Politycznie nastąpiły zmiany. Gdzie była Polska – teraz ZSRR. Marii i Barbarze majątek zabrano. Zgrabiono wszystko czego dorobiły się pokolenia ich przodków. Ciocia umiała być tylko gospodynią. Aby utrzymać siebie i dzieci zaczęła pracować w kołchozie powstałym na jej posiadłości. Pierwsze lata harowali tylko za wyżywienie. Nie mieli butów, ubrań. Wyrzucili ich z domu, dali jakieś nędzne lokum. Nieszczęścia nie chodzą parami. One chodzą stadami. Na skutek niedożywienia i pracy ponad siły, jej szwagierka dostała gruźlicy i zmarła, zostawiając trzech synów - najstarszy 12 lat. Dzieciom groził dom dziecka. Ciocia wiedziała co to za instytucja - ale o tym przy następnej siostrze mego ojca - Zofii. Maria decyduje się dołączyć osieroconych chłopców do swojej gromadki. I tak ma już na utrzymaniu nie trójkę, ale szóstkę dzieci. Chłopcy (a ma ich czterech) na szczęście nie sprawiają trudności wychowawczych. Wiedzą, że i tak spotkało ich szczęście w nieszczęściu. Wszyscy

pracują, dzielą się tym co dostają za swój trud, ale ciocia myśli też o ich przyszłości. Chce by się uczyły, są zdolni. Muszą mieć zawód. Stanąć na nogi. Córka Marii - Ludka (moja cioteczna siostra) opowiadała mi, że chciała studiować matematykę. Były egzaminy i nie miała butów, żeby pojechać zdawać. Pomogła opatrność Boska. Była jakaś loteria i Ludka za grosik kupiła los. Okazało się, że wygrała sumę pieniędzy wystarczającą na buty i bilet na pociąg. Zrealizowała swoje plany. Została matematykiem. Ciocia Maria jest dla mnie świętością. Mimo tak strasznej biedy z jaką się zmagала, wychowała całą szóstkę na wspaniałych ludzi. Pięcioro z nich skończyło studia (w tamtych czasach !). Jest wśród nich fizyk, matematyk, filolog, dwóch inżynierów. Szóste dziecko – chłopak – był słabego zdrowia i poprzestał na technikum. Ostatnie 20 lat życia ciocia Maria była przykuta do łóżka, ale jej cała szóstka troskliwie się nią opiekowała. Podczas mojej wizyty pokazywała mi listy, prezenty od dzieci. Do dziś mam przed oczami – miałam wtedy już 5 lat - jak odprowadzała nas (rodziców i mnie z siostrą) w 1945 roku aż do granicznego mostu na Bugu. Jak strasznie płakała żegnając się z nami, jak nie mogła oderwać się od mego ojca, a jej brata. Nie chciała jednak opuścić Polesia i pozostałej tam rodziny. Wciąż miała nadzieję, że złe przeminie, dobre wróci.

Zofia Kałaur

Z ta ciocią los obszedł się również okrutnie. Była przedostania z rodzeństwa ojca. W 1950 roku oskarżono ją i jej męża, że w czasie wojny nawiązali kontakty z antyradziecką bandą i zaopatrywali ją w żywność i wódkę (oskarżenie było zmyślane). Wyrok brzmiał następująco: „(...) bez uczestnictwa oskarżenia i obrony Trybunał Wojenny MWD na zamkniętym posiedzeniu rozpatrzył sprawę ob.ob, że nawiązali łączność z antyradziecką bandą i zaopatrywali ją w produkty spożywcze i wódkę „ - i dalej - „skazał ich zamknąć w poprawczym obozie pracy na przeciąg dwudziesty pięciu lat z konfiskatą całego mienia i utratą praw na przeciąg pięciu lat”. Żeby całkowicie zgnać skazanych – ciocię wywieziono w okolice Bajkału, jej męża do Workuty, a nieletnich synów (6 i 10 lat) do różnych domów dziecka, żeby zapomnieli kim są i z jakich „niegodnych” rodziców pochodzą. W domu dziecka następowało pranie mózgu. Boga nie ma, rodzice- wrogowie narodu, krwiopijcy, jest tylko jeden ojciec – ojciec całego narodu, batiuszka Stalin.

Mój cioteczny brat opowiadał mi o warunkach życia jakie miały dzieci w tej instytucji. Żeby nie było wszawicy- wszystkich strzyżono na łyso. Odżywianie – na okrągło kapuśniak, kartofle, czasem marchew, od święta mięsny ochłap. Odzież żebracza- albo za duża, albo za mała. W jednej sali na pryczach po 20 dzieci. Ciocia Zosia miała trzech synów. Najstarszego – 14 lat - wzięto pod „opiekę” kołchozu i tam

się chłopak zmarnował. Po śmierci Stalina ciocia i jej mąż wrócili do swojej wsi. Odszukali swoje dzieci i zaczęli dorabiać się od łyżki i garnka. Synowie okazali się bardzo zdolni. Chcieli studiować na politechnice i ... napotkali opór ojca, w którym na skutek głodowania za kołem polarnym powstał uraz w psychice. Powiedział synom: „Dam pieniądze na wasze studia o ile będą one związane z późniejszą pracą przy żywności. Innych uczelni finansował nie będę”. Nie pomogły prośby żony, tłumaczenia krewnych. Wujek uważał, że jedzenie jest najważniejsze. Synowie skapitulowali i ... ukończyli technologię żywności. Tak też się później złożyło, że pracowali rzeczywiście „przy jedzeniu”. Jeden był kierownikiem stołówki w koszarach, a drugi dyrektorem zarządzającym restauracjami w Smorgoniu. Ciocia Zosia przeżyła całe swoje rodzeństwo zachowując do późnej starości sprawność fizyczną. Zmarła mając 87 lat w Smorgoniu u najmłodszego syna.

Mój ojciec Terencjusz Korzeniewicz

Pozostał mi do opisanego los mego taty, który z mamą Heleną, mną i roczną siostrą Anną opuścił ukochane Polesie w roku 1945 i osiadł z rodziną w Pławnej koło Lwówka Śląskiego. Uniknęliśmy Syberii, powojennego głodu, biedy i innych dramatów, których doświadczyło rodzeństwo ojca. Życie moich rodziców upłynęło we względnym spokoju, choć też nie omijały nas większe i mniejsze nieszczęścia – ale one są wpisane w każdy człowieczy los. Może kiedyś sięgnę znowu po pióro i opiszę życie i pracę moich rodziców – nauczycieli. Ojciec całe powojenne życie bardzo tęsknił za rodzinnymi stronami. Często wracał do wspomnień i nam – córkom- opowiadał jak topiły się konie w poleskich bagnach, ile ryb było w Szczarze, Jasiołdzie, Pinie. Podobno zimą kiedy wyrąbywano w zamrzniętych rzekach przeręble – ryba strzelała z nich fontanną. W lasach tyle było grzybów, że nie zbierać, a kosić je można było. A ile tam jagód (to nawet ja pamiętam, bo kobiety w cembrach je w domu trzymały), a sady łamiące się pod ciężarem owoców, kąpiele w jeziorach, a jacy ludzie dobrzy. Być może tęsknota ubarwiała te wspomnienia. Ojciec często odwiedzał krewnych na Polesiu. Ostatni raz tam był na rok przed śmiercią. Zmarł w 1986 roku w Jeleniej Górze. Do ostatnich dni pracował w szkole.

Jego siostry i ich dzieci po powrocie z Syberii byli nędzarzami. Zabrano im wszystko. W genach mieli jednak zakodowaną pracowitość. Kiedy odwiedziłam poleską rodzinę po 30 latach- biedy już u nich nie widziałam. Jak na tamte – trudne w końcu czasy i układy polityczne, wszystkim już dobrze się powodziło. Odrodzili się jak feniks z popiołu. Pobudowali domy, mieli samochody, młodsze pokolenie zdobyło wykształcenie. Rodzeństwo ojca nie miało tylko najważniejszego – zdrowia. Ich dzieciom przypadła w udziale opieka nad chorymi rodzicami i budowanie od zera

całego swego życia. Trzecie pokolenie- wnuki, to już zupełnie inaczej patrzący na życie i świat ludzie. Wojna i polityka rozrzuciła rodzinę ojca po świecie. Mieszkamy w różnych krajach (nawet w Argentynie), mówimy różnymi językami, ale pozostała nam więź rodzinna oraz pamięć i sentyment do miejsca gdzie są nasze korzenie – Polesia.

Kiedyś na plaży w Odessie nieznajoma Rosjanka opowiedziała mi historię swojego nieszczęśliwego uczucia, kończąc słowami rosyjskiego porzekadła „za miłość płaci się siedem razy”. Moja rodzina za miłość i przywiązanie do ziemi ojców zapłaciła biblijne siedemdziesiąt siedem razy.